

Smoleński zbuk



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Ta katastrofa to smród z wmurowanego przez złośliwego architekta w rodzinne gniazdko zgniłego jaja. Wprawdzie niektórzy mówili od dawna o instytucjonalnej gangrenie polskiego państwa. Ale kto ich słuchał?

Najpierw była groza. Zbiorowy metafizyczny lęk, jak to ujął Dariusz Gawin. Rozleniwiona przekonaniem o „końcu historii” i paroletnim gadaniem o niczym w telewizjach populacja nagle uświadomiła sobie, że skoro 96 tak ważnych osób ginie w przypominających Trzeci Świat okolicznościach, to państwo nie działa. A skoro nie działa, to jednak nie ma gwarancji bezpieczeństwa i wolności. A zatem każdy z nas może skończyć podobnie jak pasażerowie tupolewa.

Potem była niezwykła żałoba i eksplozja rozsądku w debacie. Zaczynało się przebijać przesłanie, że w „tym państwie” nie działają podstawowe mechanizmy. Że właściwie nie wiadomo, kto odpowiada za organizację wyjazdów najważniejszych ludzi, bo teoretycznie to działka KPRM, ale mówiące o tym przepisy są od lat martwym prawem. Że nie ma w tym krzty planowania i koordynacji, skoro państwowe dokumenty krążą jak śmieci na wietrze, a jacyś idioci ulokowują aż tyle ważnych osób w jednym samolocie. Że Biuro Ochrony Rządu jest parodią samego siebie,

skoro nie sprawdza docelowych lotnisk przed wylotem, a w razie tragedii oficerowie tak bardzo nie wiedzą, co robić, że – jak jeden z nich mówił – zdają się na bardziej doświadczonych Rosjan.

Polska stanęła po Smoleńsku wyraźnie w jednym szeregu z takimi krajami jak Panama, Rwanda i Bośnia, gdzie zdarzyły się podobne katastrofy. Okazała się – tym razem już nie teoretycznie – przerażająco słaba i bezradna. Tak dalej być nie może – myśleliśmy coraz częściej.

Smoleńsk był jak smród z wmurowanego przez złośliwego architekta w rodzinne gniazdko zgniłego jaja. Wprawdzie niektórzy okularnicy od lat mówili o instytucjonalnej gangrenie polskiego państwa, przestrzegali, że w gorszej chwili może być z tego tragedia. Ale kto by ich słuchał, skoro woda leci z kranu, a pieniądze wyskakują z bankomatu. Domownicy musieli dławić się smrodem zbuka – którym była śmierć prawie setki ważnych osób w odrażających okolicznościach – żeby przejrzeć na oczy.

Po czterech latach od tragedii nikt jednak państwa nie naprawił. Nie jesteśmy

nawet wiele mądrzejsi w kwestii przyczyn katastrofy. Wiemy za to trochę więcej o sobie samych.

Kto uwierzył w rychłą naprawę Rzeczypospolitej, napędzaną ozdrowieńczym szokiem po Smoleńsku (i ja należałem do tych naiwniaków) – srodze się zawiódł. Platforma Obywatelska wraz ze skupionym wokół niej okrągłostołowym establishmentem poszła w negację. Negację dążeń do wyjaśnienia katastrofy, odzyskującego wigor PiS, rodzącego się mitu Lecha Kaczyńskiego.

Z perspektywy czasu widać wyraźniej niż wtedy, że inaczej być raczej nie mogło. Bo jak zauważył Paweł Soloch, wykorzystując posmoleńską szansę na zmianę ustrojową, PO musiałyby podwójnie uderzyć we własne interesy. Po pierwsze, musiałyby zmienić typ przywództwa z „transakcyjnego” na reformatorski. Po dojściu do władzy Donald Tusk oparł się na grupach interesów (w dużej mierze antyrozwojowych) dobrze urządzonych w polskim status quo. Odrobienie smoleńskiej lekcji i pójście w stronę naprawy państwa oznaczałoby więc dla niego uderzenie we własne zaplecze. I to w przeddzień wyborów.

Po drugie, gdyby PO przyjęła w punkcie wyjścia program wyjaśnienia przyczyn katastrofy, musiałyby rozliczyć także sama siebie. A przecież do lądowania prezydenckiego tupolewa w tak fatalnych warunkach przyczynili się nie tylko Tomasz Arabski czy gen. Janicki, lecz także (poprzez wejście w suflowany przez Putina scenariusz rozdzielenia wizyt prezydenta i premiera) Radosław Sikorski i sam Tusk.

Poszli więc panujący w zaparte: we wspomnianą negację, w brednie o „państwie, które zdało egzamin”, w dezawuowanie przeciwników. Poszli też w typową dla III RP „zinstytucjonalizowaną nieod-

powiedzialność” – awanse, brak konsekwencji lub przeniesienia na inne odcinki współodpowiedzialnych za przebieg smoleńskich zdarzeń.

Ale przecież nawet najbardziej powołane do odrobienia smoleńskiej lekcji Prawo i Sprawiedliwość nie robi tego, co trzeba. Zamiast szukać instytucjonalnych przyczyn katastrofy i głosić program remontu państwa, mówiąc o Smoleńsku, sprowadza go wyłącznie do win polityków PO.

**Kto uwierzył w rychłą
naprawę Rzeczypospolitej,
napędzaną ozdrowieńczym
szokiem po Smoleńsku
(i ja należałem do tych
naiwniaków) – srodze się
zawiódł**

Dlaczego? Raz, że to piarowsko wygodniejsze. Jak mówi Jan Rokita, „strategia oskarżania Tuska o zdradę, na granicy udziału w morderstwie smoleńskim, jest oczywiście społecznie ogłupiająca, niszczy racjonalną tkankę społeczną, destrukuje debatę publiczną, natomiast jest efektywna, bo mobilizuje własnych zwolenników i osłabia morale przeciwników. I to ta strategia, a nie strategia uśmiechania się, łagodności i sympatii, doprowadzi Kaczyńskiego pewnego dnia do władzy”.

Jednak jest również drugi powód. Instytucjonalna gangrena, która legła u podstaw katastrofy – niezależnie, czy był to wypadek, czy zamach – nie obciąża przecież tylko PO, ale wszystkie rządy po 1989 r; łącznie z gabinetami PiS. W latach

2005–2007 całe to trzecioświatowe dzia-
dostwo, które 10 kwietnia 2010 r. zebrało
swoje tragiczne żniwo, też istniało. Także
dlatego PiS wybiera narrację personalną
zamiast instytucjonalnej.

Inne środowiska są zaś albo zbyt sła-
be, albo za mało zainteresowane przeko-
pywaniem fundamentów w poszukiwaniu
zbuka. Zamiast tego doświadczamy więc

nieustannego wietrzenia domu przez nie-
dorosłych do swojej roli gospodarzy. Ba-
gatelizacja i personalizacja Smoleńska są
różnymi na to sposobami. Odór maleje,
sumienia się uspokajają.

Ale jednak smród zgnilizny całkiem
nie znika. Nie może. I w tym cała nasza
nadzieja, że wreszcie kiedyś zmobilizuje
nas to do remontu naszego domu.